



TOMASZ LIS

A nie mówiłem?

TOMASZ LIS
A nie mówiłem?



NA WOLNOŚĆ TRZEBA ZASŁUŻYĆ

No i stało się. Ale właściwie, co się stało? Mieliliśmy demokratyczne wybory. Tego nikt nie podważa. W wyniku wyborów partia PiS uzyskała większość w parlamencie i stworzyła rząd. To też zgodne z regułami demokracji. Wcześniej kandydat PiS został prezydentem. Nawet oponenti Pana Dudy nie twierdzą jednak, że został prezydentem przez przypadek, nawet jeśli sprawując ten urząd, codziennie niemal daje dowody, że jest prezydentem dość przypadkowym.

W czym więc problem, jeśli regułą demokracji stało się zadość, a rządzący mają niekwestionowany mandat do sprawowania władzy? Otóż rządzący najwyraźniej uznają, że demokracja sprowadza się do samego aktu głosowania, a w okresie między wyborami obowiązuje jakby mniej. A przecież demokracja, w jej prawdziwym wydaniu, polega na tym, że w państwie mamy rządy prawa, a nie rządy ludzi. Krótko mówiąc, rządy sprawują ludzie, ale nawet najważniejsze osoby w państwie nie są ponad prawem. Nawet pierwszy obywatel, prezydent, nawet premier, nawet będący ich faktycznym zwierzchnikiem tzw. naczelnik państwa Jarosław Kaczyński mają obowiązek przestrzegać prawa. A prezydent powinien dodatkowo stać na jego straży. Na tym polegają rządy prawa. Nikt, absolutnie nikt, nie może stać ponad prawem, bo czyni go to uzurpatorem, a system władzy staje się bardziej autorytarny niż demokratyczny.

Nie jest też tak, że ponad prawem jest – jak coraz częściej się mówi – jakieś dobro ludu czy jego wola. Przyjęcie tej teorii oznaczałoby, że istnieje jakaś niezmienna wola ludu, jakieś niezmiennające się jego dobro. To absurd. Oznaczałoby to bowiem, że jeszcze we wrześniu mieliśmy jedną wolę ludu i jedno jej dobro, a w listopadzie mamy inną wolę i inne dobro. Takie rozumowanie nasuwa też problem praktyczny. Kto jest uprawniony do definiowania dobra ludu? Sejmowa większość? Lider partii rządzącej?

PiS zdobyło w wyborach niecałe 19 proc. głosów dorosłych Polaków. Dość, by zdobyć większość, ale z całą pewnością za mało, by uznać te głosy za wyraz woli narodu. Części narodu, owszem, ale w sumie nieznacznej części. Wystarczającej, by rządzić; niewystarczającej, by definiować dobro narodu i uzurpować sobie prawo do łamania obowiązującego prawa.

PiS ma w Sejmie ponad 230 posłów i uznaje, że w związku z tym reprezentuje i dobro, i wolę narodu. Pytanie, czy gdyby PiS straciło 10 posłów, wola i dobro narodu byłyby zupełnie inne? Czy gdyby Zjednoczona Lewica zdobyła kilka dziesiątych procent głosów więcej i weszłaby do Sejmu, co oznaczałoby, że PiS nie ma większości, wola byłaby zupełnie inna? Jaka? Doprowadzam tę interpretację woli narodu do absurdu, ale nie jest to wielki wysiłek, bo sama w sobie jest ona absurdalna. Abstrahując już od tego, że teoria wyższości owego dobra narodu i woli narodu nad prawem już kilkadziesiąt lat temu totalnie się skompromitowała. Była bowiem szalenie popularna wśród nazistów. Świat musiał przeżyć tragedię światowej wojny, a Europa przejść przez największy koszmar w historii, z Holokaustem na czele, by okazało się, że przyjęcie takiej definicji woli narodu może rodzić dramatyczne konsekwencje.

Zgódźmy się więc, że rządy prawa są lepsze od rządów ludzi, a wierność konstytucji lepiej zabezpiecza prawa ludzi niż uzurpowanie sobie przez kogokolwiek prawa do definiowania dobra i woli ludu. A skoro tak, to pojawia się pierwszy poważny problem z partią Prawo i Sprawiedliwość. Uznaje ona, że prawo, owszem, obowiązuje, ale najlepiej to, które ta partia sama przyjmuje, albo które może z łatwością zmienić. Gdy prawo stanowi dla tej partii barierę albo gdy jakaś instytucja tej partii przeszkadza, prawo można zignorować, a instytucję zmarginalizować, zdeptać i ośmieszyć.

Dlatego przy całym dramatyzmie PiS-owskiego ataku na Trybunał Konstytucyjny, w którym uczestniczył prezydent, należy za ten akt prawnego i politycznego wandalizmu podziękować PiS. Na własne oczy zobaczyliśmy całą bezceremonialność tej partii i jej prezydenta. Zobaczyliśmy, o co w całej tej grze idzie, poznaliśmy, aż do bólu koncepcję sprawowania władzy przez PiS.

Ponieważ PiS przeszkadza prawo, konstytucja i Trybunał, konstytucję wyrzuca partia do śmietnika, a Trybunał spycha na margines. W praktyce oznacza to,

że dla wszelkich pozaprawnych, prawnie wątpliwych albo wprost bezprawnych działań nowej władzy nie ma już absolutnie żadnych hamulców. To z kolei oznacza, że Polska przestała być demokratycznym państwem prawa. Przestała być liberalną demokracją. A ponieważ dla partii PiS, dla jej prezesa i jej prezydenta nie ma też granic przyzwoitości, rozpoczęły się rządy bezprawia.

BEZ SATYSFAKCJI

Tytuł tej książki – „A nie mówiłem?” – może sugerować, że odczuwam jakiś rodzaj satysfakcji – wiedziałem, przeczuwałem, ostrzegałem. Jakiś rodzaj perwersyjnego schadenfreude, że to, co zapowiadałem, spełnia się co do joty. Realizacja czarnego scenariusza nie jest jednak dla mnie źródłem żadnej radości czy satysfakcji. Przeciwnie, jest źródłem autentycznego smutku. Cóż to za radość, że PiS okazał się taki, jaki był zawsze. Jakaż to miałyby być satysfakcja, że spełnia się czarny sen, a mój kraj pogrąża się w jakiejś demokracji.

Żadna demokracja nie jest idealna, każde państwo potrzebuje zmian, prawo zaś wymaga korekt, czasem nawet radykalnych. Nie mamy jednak do czynienia z zapowiadaną przed wyborami „dobrą zmianą”. To zmiana bezdyskusyjnie na gorsze. Spychająca Polskę na margines demokratycznych krajów europejskich, gdzieś w stronę Budapesztu, a może Turcji. A może, już niedługo, w stronę Białorusi czy Rosji. Oby nie. Ale widząc impet, bezwzględność tej władzy, i takiego scenariusza bym nie wykluczał.

Problem z władzą PiS nie polega oczywiście tylko na tym, że burzy ona fundamenty państwa prawa i miażdży niezależne od siebie instytucje. Polega głównie na celach, które w ten sposób chce osiągnąć. Dokładniej na celu głównym.

Celem głównym jest realizacja wizji ideologicznej, wykluczającej większość społeczeństwa. Zakłada ona, ni mniej, ni więcej, tylko usankcjonowanie ultrakonserwatywnego państwa narodu katolickiego. Nie mam problemu ani z konserwatyzmem, ani z narodem, ani z katolicyzmem. Ale ultrakonserwatywnego państwa narodu katolickiego nie chcę, podobnie jak miliony Polaków. Po pierwsze dlatego, że wśród Polaków są nie tylko konserwatyści. Po drugie dlatego, że państwo powinno być światopoglądowo neutralne. Po trzecie dlatego, że respektując, co oczywiste, prawo do wyznawania przez obywateli wiary, państwo nie

może używać narodowo-katolickiego stempla. Po czwarte dlatego, że takiego państwa nie życzy sobie także cała masa katolików. Uważają oni bowiem, że ich wyznanie jest kwestią prywatną i nie uprawnia nikogo do nadawania wyznaniowego charakteru państwu.

Władza dobra, mądra władza nie skupia się na ideologizacji państwa, na propagowaniu i narzucaniu jakiejś jego wizji, ale przede wszystkim na tym, by czynić życie ludzi łatwiejszym. To nie znaczy, że państwo z założenia ma rezygnować z promowania idei. Nie mogą to być jednak idee, które sprawiają, że ktokolwiek czuje się w tym państwie źle, obco, nie u siebie. Państwo należy do wszystkich i ma być dla wszystkich. Musi być sługą, a nie oficerem politycznym. Takie państwo już mieliśmy – nazywało się PRL. Większość Polaków nie chce PRL-PiS, czyli PRL bis.

PiS-owska władza, tworząc takie państwo, petryfikuje głęboki podział społeczeństwa. Podział, który od lat służył politycznie Jarosławowi Kaczyńskiemu, ma być teraz pokropiony święconą wodą. Stworzenie państwa narodu katolickiego sankcjonuje demagogiczny i niemądry podział na Polaków lepszych i gorszych, bardziej patriotycznych i mniej patriotycznych. Niby kto, w imię czego, na jakiej podstawie, ma prawo takiego podziału dokonywać.

By urzeczywistnić ideologiczną wizję Jarosława Kaczyńskiego, nachalnie nadużywa się słów „naród” i „patriotyzm”. Nikt nikomu nie dał w Polsce monopolu na patriotyzm. A już na pewno miarą patriotyzmu nie jest energia, z jaką wymachuje się biało-czerwoną flagą, ani częstotliwość, z jaką wypowiada się słowo „naród”. Narodowa telewizja, narodowe kino, narodowa sztuka, narodowa nauka, narodowe wychowanie. Chcę, podobnie jak – zgaduję – miliony Polaków, dobrej i uczciwej telewizji, dobrych filmów, ambitnej sztuki, sensownej szkoły, solidnego wychowania dzieci i młodzieży. Najlepiej wychowania na dobrych ludzi. Patriotów też, ale niekoniecznie według jednej miarki – wiary, wyznania, orientacji seksualnej czy poglądów politycznych. Nie Polska dla Polaków, bo to hasło wykluczające, ale **POLSKA DLA ABSOLUTNIE WSZYSTKICH POLAKÓW.**

Nadużywanie słowa „narodowy” służy ukryciu celu najprawdziwszego. A jest nim stworzenie państwa partyjnego, państwa PiS. Państwa, w którym naczelnikiem, wodzem, cesarzem, panem i władcą będzie pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego PiS. O to tu idzie. Przy czym Jarosław Kaczyński ma ambicje dalej

idące niż ambicje, które miał którykolwiek z pierwszych sekretarzy PZPR. Chce nie tylko władzy niekontrolowanej. Chce władzy totalnej. Chce nie tylko rządu. Chce rządu dusz. Komunistyczna władza musiała się z Kościołem układać. Kaczyński chce zdominować także Kościół. I dlatego mówi dziś językiem Cyrankiewicza – „ręka podniesiona na Kościół jest ręką podniesioną na Polskę”. Mówi, jakby był i głową państwa, i głową Kościoła, choć nie jest ani jednym, ani drugim. Sprawą Kościoła jest jego stosunek do części tej uzurpacji. Czy kardynałowie i biskupi nie widzą, że oto Kaczyński zaprzął ich do swojego rydwanu? Tego chcą? Nie rozumieją opłakanych tego skutków także dla siebie.

Jarosław Kaczyński nie chce być więc tylko pierwszym sekretarzem partii rządzącej. Chce być pierwszym sekretarzem całej Polski. To jemu hołdy składają prezydent i premier. To jemu mają być wdzięczni wszyscy, którzy sprawują jakiegokolwiek funkcje z nadania PiS. To jemu ma być wdzięczny cały naród, bo przecież, jak to powiedział prezydent Duda, prezes jest „wielkim politykiem, strategiem, patriotą i człowiekiem, a dowody jego wielkości są jednoznaczne”. Otóż, panie prezydencie, podobnie jak miliony Polaków wcale nie uważam, że pan Kaczyński jest wielkim politykiem, strategiem, patriotą i wielkim człowiekiem. Nie widzę też żadnych dowodów jego wielkości. Małości, owszem.

Kaczyński chce być odpowiedzialny wyłącznie przed Bogiem i historią. Żywi nie mają jednak prawa oceniać półboga. To już pierwsze kroki w stronę kultu jednostki.

Otóż nie podoba mi się państwo, w którym ktokolwiek przypisuje sobie taką władzę. Kaczyński jest liderem rządzącej partii. I tyle. Nic więcej. Mielśmy już wielu liderów partii sprawujących władzę. Będziemy ich mieli jeszcze bardzo wielu. Żaden z nich nie ma władzy większej niż ta, którą daje mu prawo.

CZAS NA NAS

Wielu Polaków jest dziś zaszokowanych tym, co się dzieje, tempem niebezpiecznych zmian, bezceremonialnością partii władzy. Bezceremonialnością jej funkcjonariuszy. Wielu Polaków zastanawia się, co przyniosą następne dni, tygodnie i miesiące. Bardzo wielu z nas ma poczucie, że oto w majestacie prawa albo przy pomocy naginania czy łamania prawa pozbawia się nas najcenniejszych zdobyczy minione-

go ćwierćwiecza. Łatwo przyzwyczailiśmy się do wolności. Jest jak powietrze. Docenia się je zwykle dopiero wtedy, gdy zaczyna go brakować.

Na większość pytań, które postawiłem wcześniej, nie znamy jeszcze odpowiedzi. Widzimy jednak tupet nowej władzy. Uzasadniona jest więc obawa, że ta władza nie powstrzyma się przed niczym, by umocnić samą siebie, zmarginalizować politycznych przeciwników, zagarnąć kolejne sfery życia społecznego i poddać je ideologicznej kontroli.

Nie przez przypadek do realizacji ideologicznego projektu i walki z wrogiem zaangażowano panów Ziobrę, Macierewicza i Kamińskiego. Już nieraz udowodniali, że potrafią posunąć się naprawdę bardzo daleko i że nie zamierzają się w realizacji swych celów przejmować ani prawem, ani głosami sprzeciwu. Mają święte przekonanie o słuszności swej misji. Ad maiorem Dei gloriam.

Musimy jednak znaleźć odpowiedzi na najważniejsze pytanie: co możemy zrobić my, Polacy, którym nie podoba się to, co się dzieje w kraju?

Zabrzmiało to boleśnie, ale trudno: czas mroku będzie długi. Nic tu się nie skończy ani za miesiąc, ani za rok. Nie obudzimy się nagle z myślą, że koszmara był tylko snem. Czeka nas długi marsz, długa batalia o normalność, o demokrację, o odbudowę państwa prawa. Tym bardziej że oponent jest zdeterminowany. Tym bardziej że już gwałci prawo, i pogwałci je zapewne jeszcze wiele razy. Będzie miał więc świadomość, że przyjdzie mu za to ponieść konsekwencje, gdy tylko okaże się, że władza jednak nie była dana raz na zawsze.

Co mamy robić? Musimy robić swoje. I dużo więcej. Czeka nas wielki test społeczeństwa obywatelskiego. Właśnie teraz musimy odpowiedzieć na pytanie – kim jesteśmy, ile naprawdę warta jest dla nas wolność i demokracja, jaką cenę gotowi jesteśmy za nią zapłacić.

Pierwsze sygnały podnoszą na duchu. Jakby uspięne przez tyle lat społeczeństwo obywatelskie staje na nogi. Tworzą się komitety obrony demokracji. W internecie powstają nowe inicjatywy wspierające opór wobec nielegalnych, półlegalnych i ćwierćlegalnych działań władzy. Przyzwoicie zachowuje się wielu sędziów i prokuratorów.

Niezwykle ważna jest rola, którą będą odgrywać dziennikarze, tym bardziej że niezależne media wkrótce będą celem brutalnego ataku. Nowi władcy mogą za-

właszczyć publiczną telewizję, uczynić ją telewizją narodową, mogą powierzyć wszystkie funkcje w tej telewizji PiS-owskim propagandystom. Ale ta nachalna propaganda będzie tylko obiektem szyderstw i drwin, gdy zostanie skonfrontowana z rzetelnymi informacjami i opiniami przekazywanymi przez inne telewizje, przez wolną prasę, przez internet i media społecznościowe.

Władza jest tego świadoma, będzie więc próbowała uderzyć we wszystkie media niezależne. Spróbuje je zawłaszczyć, przejąć, zmarginalizować, zaszantażować. Będzie potrzeba wielkiej determinacji właścicieli mediów, dziennikarzy i widzów, słuchaczy oraz czytelników, by się temu oprzeć. Wojna o wolne media będzie kluczowa dla przyszłości naszej demokracji. Jeśli ją przegramy, w mroku pogrążymy się na dekadę albo dłużej.

Już dziś niemal każdy głośny oponent władzy jest celem brutalnych ataków ze strony polityków PiS i pro-PiS-owskich mediów. Nie miejmy złudzeń. Ataków będzie więcej, będą bardziej brutalne, bardziej dotkliwe, bardziej kłamliwe. Gdy już nowa władza weźmie za twarz publiczne media, wyleje się z nich lawina pomyj.

Technika jest zawsze ta sama. Oponentów władzy trzeba Polakom obrzydzić. Odsądzić ich od czci i wiary. Zmienić im życiorysy, przypisać im najniższe pobudki, zohydzić na wszelkie sposoby. Tak robiła komunistyczna propaganda i nie ma powodu, by przypuszczać, że tym razem będzie inaczej. Poniewieranych i opluwanych będzie wielu. Nikt z nich nie powinien pozostać sam. Nie poradzimy sobie z nawałnicą bez autentycznej solidarności. Bez niej władza będzie wybierała sobie kolejnych wrogów, wskazywała ich i eliminowała, zastraszając i używając oczerniającej ludzi propagandy. Jeśli władza stwierdzi, że może to robić bez przeszkód, rozpędzi się jeszcze bardziej. A gdy ludzie zobaczą, że zniszczyć można każdego, wielu ucichnie. Solidarność jest potrzebna nie tylko ofiarom. Jest potrzebna nam wszystkim.

Będziemy musieli zdawać test nie tylko z solidarności i obywatelskości, ale także z chrześcijaństwa. PiS-owska władza chce Polaków podzielić na amen. Na to też nie można pozwolić. Tak jak władza często odmawia wielu z nas patriotyzmu, tak często po naszej stronie zwolennikom władzy odmawia się rozumu. Fakt, wielu nie może pojąć, jak wielu innych mogło poprzeć projekt tak dla Polski fatalny. Często wynikało to jednak po prostu z antypatii do poprzedniej władzy,

z głębokiego przekonania, że Polska może być lepsza, że Polską można rządzić lepiej. A także z poczucia, że część Polski biegnąc za nowym, Europą, dostatkami, nowoczesnością, zapomniała o tych, którzy biec często nie potrafią, a przed nowym, nieznanym, odczuwają po prostu lęk. Często uzasadniony. Także z poczucia, że część Polaków odciętych jest nie tylko od możliwości, ale także od szans, które są udziałem innych. To nie jest powód do pogardy, lecz do poważnej refleksji. Bo innej Polski niż ta, którą mamy, mieć nie będziemy, bo żadna połowa Polaków z Polski się nie wyprowadzi. I kiedyś, w sensie politycznym, a na pewno społecznym, będziemy musieli Polskę i Polaków posklejać. Tak, by na następnym okrążeniu nie było znowu triumfatorów i tych, którzy ponieśli klęskę, ale by w imię solidarności i przyszłości stworzyć szanse dla wszystkich.

Chcą nas podzielić. Będziemy głupcami, jeśli im na to pozwolimy. Właśnie podział uznają za gwarancję swojej władzy, dokładniej – wszechwładzy. Temu musimy się przeciwstawić. Nie tylko w imię wielkich idei, ale także w imię dobrze pojętego własnego interesu. Interesu całego społeczeństwa.

PRACA DOMOWA

Obecne rządy to będzie zapewne długi antrakt. Ale to nie czas na emigrację wewnętrzną. To czas na odrobienie pracy domowej. Nie podoba się nam PiS-owska wizja Polski. Ale czy naprawdę mamy jakąś inną, spójną koncepcję? Nie zbiór haseł, ale zbiór idei i sensowny program na lata? Bądźmy szczerzy – nie mamy. To wszystko trzeba wypracować. Cierpliwie, krok po kroku. Byśmy kiedyś, gdy zmiana polityczna nastąpi, byli na nią dobrze przygotowani. Odzyskanie wolności często jest o niebo trudniejsze niż jej zagospodarowanie. A Polskę wciąż czeka bardzo długa droga, by dołączyć do grona najbogatszych społeczeństw i najlepiej rządzonych państw.

I tu wielka praca czeka naukowców, ekspertów. Trzeba nam watchdogów, którzy będą obserwować i kontrolować władzę, trzeba nam think tanków, które pomogą wymyślać Polskę na nowo i opracować programy sensownych zmian w każdej dziedzinie. To też będzie wielki test. Nie możemy go oblać.

Polska wpadła w turbulencje, gdy wydawało się, że przy wszystkich trudnościach, błędach, niedomaganiach oraz wadach państwa jesteśmy na dobrej dro-

dze. Gdy za granicą stawiano nas za wzór. Skala zmiany akurat w takim momencie jest dobrym materiałem badawczym dla socjologów. Ale trzeba pogodzić się z tym, że zdaniem milionów Polaków aż tak dobrze w Polsce nie było, że zmiany są potrzebne. Zamiast korekty dającej szansę na rozwój wypisano nam receptę na regres. Ale to wcale nie znaczy, że nie powinniśmy myśleć nad sensem i treścią zmiany. Ta praca zajmie wiele czasu. Warto ją zacząć już dziś. Szybciej skończymy.

Moje pokolenie dostało wolność i demokrację na tacy. To był cud. Kiedy wchodziliśmy w dorosłe życie, zaczynała się nowa Polska, niespodziewany nowy rozdział w historii. Miliony z nas z tej szansy skorzystały. Uznawaliśmy jednak, bo taka jest ludzka natura, że skoro ją dostaliśmy, to się nam należała. Że możemy zbierać owoce historycznego przełomu.

Najwyraźniej tak nie jest. O to, co dostaliśmy za darmo, dziś znowu musimy walczyć. W warunkach, powiedzmy sobie szczerze, niepomernie mniej dramatycznych niż pokolenia naszych ojców, dziadów i pradziadów. Wystarczy, że odzyskamy to, o co oni walczyli i co wywalczyli. Nic nam się nie należy. Także my na to, co najważniejsze, musimy zasłużyć i zapracować. Albo może po prostu odpracować to, co wzięliśmy z tacy, którą podała nam historia. Nie pytajmy więc, komu bije dzwon. Bije on nam.

W tej książce publikuję teksty, które napisałem w czasie ostatnich prawie czterech lat. W większości, przyznając to z przykrością, celnie przewiduję to, co się teraz dzieje. Oczywiście nie we wszystkich. Niestety, nie spełniły się głównie przewidywania optymistyczne. Pesymistyczne spełniły się i spełniają co do joty. Teksty o tym, co może być, czyta się dziś w dużym stopniu jak teksty o tym, co jest. Warto je jednak, tak sądzę, czytać także z myślą o tym, jak być może i jak być powinno.

2012 r.

MIĘDZY MARGINESAMI

Prawdziwa Polska spowita jest mgłą, a najbardziej donośne są w niej głosy dochodzące z marginesów. By dostrzec realny kraj, trzeba się przebić przez mgłę i nauczyć się ignorować nieznośny hałas.

Najwyraźniej nie jest to proste, bo mają z tym problem nawet dorośli i mądrzy ludzie. Dlatego wciąż dziwią ich rzeczy, które już dawno dziwić ich nie powinny. Mnie nie dziwią, dziwi mnie jedynie, że dziwią ich.

W ostatnich dniach można było zauważyć i usłyszeć wielu zdziwionych. Ich zdziwienie było autentyczne, bo przecież nie artykułowaliby go tak wyraźnie, gdyby było inaczej. Lech Wałęsa wciąż jest bardzo zdziwiony, że będąc na świecie symbolem walki o wolność, w Polsce przez wielu jest traktowany jako symbol zdrady. Nie wiem, dlaczego Wałęsa nie jest w stanie zrozumieć, że w naszym pięknym kraju zawsze z największą intensywnością kopie się tych, którzy zasługują na wdzięczność i szacunek. Wiedziałby, że kopniaki są u nas jak ordery.

Szef naszej dyplomacji Radosław Sikorski zaprezentował w zeszłym tygodniu cele polityki zagranicznej. Pewną dystrakcją w tej prezentacji była konieczność tłumaczenia, że nie jest ruskim agentem, że nie spiskował z Putinem w celu zabicia polskiego prezydenta i że nie wiedział o nieuchronnej śmierci kilkudziesięciorga polskich obywateli, w tym wielu jego znajomych. Musiał więc udowodniać, że nie jest zdrajcą, kanalią i nie zasługuje na karę śmierci, co zasugerował lider opozycji. W całkowicie normalnym kraju takie oskarżenie byłoby czymś niezwykłym, ale też... ale też my dziwić się nie powinniśmy. Minister też nie powinien.

Premier Tusk miał prawo się dziwić, gdy usłyszał, że dąży do likwidacji narodu polskiego, co już nie sugerował, ale otwarcie powiedział lider opozycji. Może się nawet premier zdziwił. A może i nie. Dziwić się nie powinien, wiadomo – mgłą, hałas na marginesach.

Miłość do Polski, takiej jaka jest, wymaga umiejętności niedziwienia się i przyjmowania z dobrodziejstwem inwentarza rzeczy, słów i zjawisk, które w normalnych okolicznościach powinny jeśli nie szokować, to intrygować.

Nie powinniśmy się więc dziwić, że były sekretarz KC daje wykłady o demokracji, że agent SB insynuuje, kto jest rosyjskim agentem wpływu. Nie powinniśmy się dziwić, że autor najbardziej zawstydzającego panegiryku na cześć premiera (tyle że poprzedniego) mówi, kto jest dziennikarzem prorządowym. Nie powinniśmy się dziwić, że pałkarz z brukowca, mentalny żul i bęcwał wystawia cenzurki dziennikarzom. Nie powinniśmy się dziwić, że mistrz łatwych rymów (stąd nazwisko) nazywa większość z nas ludnością tubylczą.

Nie powinno nas to wszystko dziwić. Ale nie dlatego, że to Polska właśnie, lecz dlatego, że także taka bywa Polska. To normalny kraj w ogromnej większości fajnych ludzi, często zagłuszanych niestety przez margines. W biografii Steve'a Jobsa jej autor, Walter Isaacson, pisze, że Jobs świadomie dokonywał „zniekształcenia pola rzeczywistości”, by siłą wizji i woli rzeczywistość zmienić. My w Polsce musimy codziennie wykazywać siłę woli, by nie dopuścić do zniekształcenia pola naszej rzeczywistości. Tym bardziej że efektem tego zniekształcenia byłby nie postęp, ale totalny regres.

„Newsweek” nr 14/2012 (2-9 kwietnia 2012)

DLACZEGO SIĘ BOJĘ 10 KWIETNIA? DO HYMNU!

Boi się, no tak, sam się przyznaje, że się boi. Dlaczego się boi? Bo wie, że narodowy duch się odradza, a jak się odrodzi, o tym też wie, to takich jak on, zaprzańców, zdmuchnie z placu boju.

Tak pewnie przeczytam na jednym czy drugim prawniczym forum. Ale nieważne.

Dlaczego się boję 10 kwietnia? Nie dlatego, że boję się tłumu. Lubię tłumy. Nie dlatego, że boję się wspólnoty. Kocham poczucie wspólnoty. Nie dlatego, że nie lubię patriotycznej atmosfery. Lubię ją. Nie dlatego, że nie lubię manifestowania, że my, że razem, że Polska, że biało-czerwoni, że jeszcze nie zginęła i nigdy nie zginie. I flagi też lubię, dużo flag.

Boję się, bo nie trzeba wielkiej umiejętności przewidywania, by wiedzieć, że kolejny raz, tak jak w czasie uroczystości rocznicowych sprzed roku, pojawi się w stolicy wspólnota, ale będzie to – swego rodzaju paradoks – wspólnota wykluczająca. My tu to patrioci, my wiemy, co się wtedy stało i kto to zrobił, my wiemy, że Lech Kaczyński był wielkim prezydentem, kto nie z nami, jest Polakiem gorszym, a może jest Polakiem wyłącznie z paszportu i miejsca urodzenia.

Czy to są jakieś rojenia i fobie? Nie.

Po stronie, jak ona sama się nazywa – niepodległościowej czy niepokornej, mamy bowiem do czynienia z patriotyzmem wykluczającym. Nie jest przecież przypadkiem, że idol tej Polski zaraz po katastrofie napisał, że „co się podzieliło, to się już nie sklei”. Nie jest przypadkiem, że niedawno całkiem poważnie stwierdził, iż jedna czwarta Polaków to patrioci, a reszta to takie tubylcze barachło. Rozumiem, że takie stwierdzenie ma być fundamentem sklejanego dwóch Polsk, tak?

Nie śmieję się z patriotyzmu zwolenników Jarosława Kaczyńskiego i miłośników Lecha Kaczyńskiego. Szanuję go. Szanując ich, nie godzę się jednak na to, by mnie samemu patriotyzmu odmawiano.

A czyni się to, czyni się to regularnie, w niepokornych tygodnikach niemal co tydzień, na portalach „po stronie prawdy” właściwie codziennie. W słowach często wybitnie brutalnych. Czasem głanowany niemiłosiernie odgryzam się, pewnie za mocno niekiedy, ale ta moc jest jakby manifestacją, że pognębić się rąbance nie dam. Teraz, w nastroju przedświątecznym i przedrocznicowym, pytam jednak na spokojnie.

Czy mogę być uznany za patriotę, uważając prezydenturę Lecha Kaczyńskiego za nieudaną? Czy mogę być traktowany jak patriota, skoro koncepcje Jarosława Kaczyńskiego i jego praktyka polityczna zwykle są według mnie nie do zaakceptowania? Czy mogę być uznany za patriotę, skoro wszystkie słowa o zamachu uważam za brednie? Czy mogę być patriotą, skoro uważam, że pomysł z Wawelem był niedoważony? Czy mogę być patriotą, skoro uważam, że Rosjanie nie mieli z tym nic wspólnego, a Niemcy nie są naszym wrogiem?

Czyż uważając tak, nie dowodzę, że patriotą nie jestem, a w najlepszym razie jestem głupcem? Tak, kocham nasze poczucie wspólnoty, ale nie wspólnoty wykluczającej, nie wspólnoty wrogości, nie przeciw komuś i czemuś. Trudno dziś o nią w Polsce. Co się podzieliło, to się może rzeczywiście nie skleci.

Może więc jedyną możliwą wersją wspólnoty jest ta stadionowa, biało-czerwona, gdy razem ryknijemy hymn, wierząc, że za chwilę nasi tam sięgną, gdzie wzrok nie sięga, i złamię, czego rozum kibica nie złamię, i poczują swą młodość razem z jej orlą potęgą.

Gdy ryknijemy „Jeszcze Polska”, na kilkadziesiąt sekund, a potem na 90 minut nikt z nas nie będzie miał politycznych poglądów, wszystko to stanie się doskonalnie nieistotne. Mury choć na chwilę runą. Przynajmniej na 90 minut naprawdę „złączym się z narodem”. Też coś.

NaTemat.pl, 5 kwietnia 2012

LUSTRO

To coś na kształt emocjonalnego terroryzmu – nastrój całego narodu uzależniony od fobii i odjazdów jednego człowieka. I ta ogólnonarodowa psychoterapia – cały kraj zastanawia się, czy ten jeden człowiek jest szurnięty, czy nie. W sensie społecznych skutków działań owej osoby ta diagnoza właściwie nie ma znaczenia. Skutki są, jakie są, niezależnie od tego, czy człowiek ten jest, jak mówi niektórzy, paranoikiem i psychopata, czy też, jak twierdzą inni, uosabia kombinację wielkich kompleksów i straszliwego cynizmu. A skutki są niespodziewanie głębokie, także u tych, którzy do tego człowieka podchodzą z odrazą. Po pierwsze, masowe poczucie zawstyżenia i zażenowania – przecież ludzie widzą to zakłamanie, dostrzegają tę dewiację, rejestrują pokraczność wywodów i bezczelność tez.

Widzą to, słyszą, czują, a jednak wsłuchują się w te diatryby, w te filipiki, obserwują te niewydarzone „łańcuchy tautologii, parę pojęć jak cepy”. Czują się, jakby zło ich uwodziło, fascynowało, choć wiedzą, że w gruncie rzeczy jest ono banalne. Nawet jeśli, a w jego przypadku tak jest, to zło ubiera się w szaty moralizatorstwa. Bo banalne jest nawet to, iż zawsze krzyczy, że występuje w samoobronie, bo jest dobrem bezczelnie, w haniebny sposób atakowanym.

Człowieka, który budzi tak wielkie społeczne namiętności, wielu uważa za narcyza. Precyzyjna kwalifikacja psychologiczna czy psychiatryczna jest jednak nieistotna. Wszyscy widzą, jak bardzo jest skupiony na sobie. Syci się swoim złem, będąc jednocześnie przekonanym o własnej dobroci. Bez zmrużenia oka potrafi upokorzyć i pognać, ale tylko siebie jest w stanie obsadzić w roli ofiary. Tylko jemu zadawane są ciosy, tylko on cierpi, tylko jego krzywdą. Potrafi się wzruszyć cierpieniem, ale wyłącznie własnym. Powtarza, że działa „powodowany dobrem”. W ogóle lubi mówić o tym, ile w nim dobra. Sprawia wrażenie, jakby mówił to szczerze. Im więcej o tym mówi, tym więcej popełnia aktów zła.

Wielu uważa, że jego bezwolnym i bezrefleksyjnym sojusznikiem są media. To one, wiedząc, czego pragnie publika, nagłaśniają jego plugawe słowa. On wie, że nawet jeśli go nienawidzą, są w swej głupocie jego sojusznikami. Gardzi nimi, bawi się nimi, wykorzystuje je. Nie jest jednak wcale pewne, czy rację mają ci, którzy uważają, że kamer, mikrofonów i antenowego czasu trzeba go pozbawić. To prawda, jego werbalne ekscesy, ta cała tupeciarska retoryka, ta swoista apologia arogancji i nieskrywana demagogia mogą być zaraźliwe. I są zaraźliwe. Ale też czy siłą demokracji nie jest to, że jest ona zdolna, by się z tym zmierzyć?

Czy prawdziwym testem przywiązania społeczeństwa do wolności słowa nie jest trudna gotowość do tego, by pozwalać korzystać z niej także tym, którzy myślą słowa ze śliną, tym, którzy kłamią, bo otwierają usta, którzy wyrzucają z siebie oszczerstwa i insynuacje, bo inaczej nie potrafią? On, owszem, wykorzystuje demokrację, by zafundować całemu krajowi jakąś paranoiczną psychodramę. Ale co to by była za demokracja, która byłaby na nią nieodporna. Kraj, który pozwala mu mówić, perorować, a nawet lżyć, wcale nie daje dowodu, że jest bezbronny. Przeciwnie, daje dowód swej siły. Powściągliwość i umiar w zderzeniu z agresją i brutalnością wydają się skazane na porażkę i bezradne. Ale to one są górą. W każdym razie tak długo, jak długo epidemię nienawiści udaje się powstrzymać.

Czy z bredniami, z kłamliwymi oskarżeniami trzeba nieustannie polemizować? Czy nie polemizując z nimi, infekcji zła nie czyni się bardziej prawdopodobną? Ale jak można z nimi polemizować, skoro wytaczają się jak nigdy nietężejąca lawa? Powołać rzecznika zdrowego rozsądku? Dawać odpór każdej bzdurze? Czy byłoby to działanie w imię dobra? A może byłaby to wyłącznie nobilitacja szaleństwa?

Ten człowiek i jego „przesłanie” przez to, jaki jest i co mówi, stanowi wielkie wyzwanie dla wspólnoty. Zmusza on całe społeczeństwo do spojrzenia w lustro i odpowiedzi na pytanie – jakie ono naprawdę jest. On sam funduje temu społeczeństwu wielki test – test przywiązania do zupełnie elementarnych wartości demokracji i chrześcijaństwa, niezależnie od tego, że sam widzi się w roli obrońcy społeczeństwa i chrześcijan przed niewiernymi.

Nie ma co ukrywać, za ten paranoiczny seans społeczeństwo płaci bardzo wysoką cenę. Ale jeśli zafundowany mu test zda, lekcja może być bezcenna. Wartości

dla społeczeństwa najważniejsze mogą być i bardziej uświadomione i umocnione. Społeczeństwo będzie lepsze. Zyska też kraj. Jeśli tylko, to najważniejsze, ludzie nie ulegną logice zła i zło naprawdę będą zwyciężać dobrem.

Takie to refleksje przysły mi do głowy w związku z procesem Andersa Behringa Breivika.

NaTemat.pl, 20 kwietnia 2012

Copyright © by Tomasz Lis

Copyright © by Ringier Axel Springer

Polska Sp. z o.o., Warszawa

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 52

02-672 Warszawa

Dyrektor wydawniczy:

Dariusz Zieliński

Menedżer projektu:

Bernadetta Byrska

Redaktor prowadzący:

Łukasz Ramlau

Projekt okładki i środka:

MMM

Korekta:

Ewa Leszczyńska-Al-Khafagi

Fotoedycja:

Rafał Pyznar

Warszawa, 2016

ISBN 978-83-8091-056-0